

Trzeci dzwonek

TOMASZ MIŁKOWSKI

Co robić z klasyką

Przez wiele lat klasyka była sposobem mówienia w teatrze o współczesności. Kostium historyczny skrywał wcale rzeczywiste konflikty, te na wyciągnięcie ręki. Tak czytano polskich romantyków, Szekspira, a nawet starożytnych. Jednak z chwilą zniesienia ograniczeń cenzuralnych ten specyficzny kod porozumienia z publicznością przestał być potrzebny.

Teatr stanął przed pytaniem: co począć z klasyką. Po części odwrócił się od niej plecami. Bo to na ogół kosztowne i główny powód inscenizacji (zamiast repertuaru współczesnego) stracił rację bytu.

Co pewien czas odzywa się jakiś teatralny trybun, aby wołać gromkim głosem o prawo do istnienia klasyki w teatrze, ale samo poczucie kulturalnego obowiązku w teatrze nie wystarcza. Chyba że ktoś kontentuje się tzw. teatrem lektur szkolnych. Mamy wtedy do czynienia z przedstawieniami o niewielkich ambicjach, ale skądinąd pożytecznymi. Młodzież niechętna lekturze dzieł dawnych pisarzy ma okazję zapoznać się z ich treścią za pośrednictwem teatru. W Warszawie istnieją nawet specjalistyczne trupy teatralne, które zajmują się obsługą żadnej tego typu towaru młodzi. Jeśli robią to przyzwyczajenie, nie mam o to wcale pretensji – solidnie odegrana sztuka (celowo tak to nazywam – ku uwadze pewnego lektora z „Gazety Wyborczej”, któremu należy podkreślać śmieszne fragmenty wężymkiem, aby biedaczek nie przeoczył) to zapewne pokarm lepszy niż byle jak napisany bryk.

Jednak to wcale nie znaczy, że klasyce pozostała tylko egzystencja w postaci nobliwego teatru lektur. Takich spektakli jest wiele w repertuarach teatrów stołecznych i pozawarszawskich, grane są w samo południe, dla dziatwy szkolnej. Atoli bywa i tak, że są pokazami lektur szkolnych tylko przy okazji. **Tak stało się ostatnio z „Zemstą” Fredry w reżyserii Andrzeja Łapickiego, który zgromadziwszy gwiazdorską obsadę i dbając o klasyczne wybrzmienie widowiska (o humorze nie zapominając) stał się sprawcą największej sensacji sezonu.** Ludzie walą na „Zemstę” jak w dym, zabijają się o bilety, a ponoć pewien prominent pochwalił dyрекcję za tak oryginalny pomysł, żeby Fredrę zagrać. Nie wiedział najwidoczniej, że tak jest w „Polskim” od 85 lat (i chwała

Bogu, że tak jest), ale mniejsza o to. Widać, że mocny aktorski spektakl klasyki może do publiczności przemówić. Że ludzie czekają na teatr do brze skrojony.

Innego typu próbę podjął Zbigniew Brzoza w Teatrze Studio wystawiając „Antygone” Sofoklesa. Reżyser nawiązał do praktyki wpisywania tekstu klasycznego we współczesny kontekst. Ukazał tragedię losu w scenerii konfliktu bałkańskiego: ogromne, szare mury na całą wysokość sceny mogły w równej mierze nawiązywać do architektury starożytnych Teb, jak i obrazy zombardowanego miasta (dzieło scenografa Mihailla Tchernaeva). Kostiumy wojskowe (Doroty Kołdyńskiej) odwoływały się zaś do mundurów dziańskich chłopców, którzy krążą po różnych peryferiach Europy i Azji. Brzoza pokazał w teatrze stan po wojnie domowej – i tej antycznej, i tej dzisiejszej, doświadczającej najołśniejszej narody, które wklajają się w wewnętrzne waśnie. W tak zaprojektowanym widowisku doskonale odnaleźli się wykonawcy, a zwłaszcza główni aktorzy dramatu: Antygona (Maria Peszek) i Kreon (Jerzy Radziwiłowicz). Ich starcie na gruzach ojczyzny było w istocie lamentem za utraconym pokojem, który próbuje Kreon zbliznić prawem, a Antygona uczuciem.

A jednak – mimo trudnych do przecenienia intencji i warsztatowej sprawności, świetnej scenografii, a zwłaszcza znakomitej muzyki Henryka Gembalskiego – widowisko Zbigniewa Brzozy pozostaje zimne. Czyżby teatr publicystyczny (w szlachetnym tego słowa znaczeniu) stracił nośność? Nie sądzę. **Wyżebienie emocjonalne przedstawienia bierze początek z osłabienia konfliktu tragicznego.** Skoro Kreon od początku reprezentuje wrogą jednostkę ślepią siłą armii, skoro wokół niego krążą pilnujący porządku goryle, jego racje jako rzecznika lityry prawy od początku tracą na wadze. Jeśli od razu wiadomo, że Antygona ma rację, sztuka kończy się w pierwszej scenie, kiedy spotykają się główni przeciwnicy ideowi. Nic tedy dziwnego, że reżyser skreślił ostatnią kwestię Chóru, w której sprawiedliwie ocenia się ich konflikt, przestrzegając zarówno przed anarchią jak i nadużywaniem władzy.

Sofokles apelował wszak – mówiąc dzisiejszym językiem – o samoograniczenie władzy i elementarne posłuszeństwo obywatelskie. Jeśli pominąć tę kwestię, z „Antygony” pozostaje prawie tylko retoryka. Nie pomogą jej wstrząsające zdjęcia ze współczesnych pól bitew, które znamy z telewizji. Z klasyką jednak trzeba ostrożnie.